

Porywający romans autorki bestsellera New York Times,
Fourth Wing. Czwarte Skrzydło.

GDYBY JEDNAK



REBECCA
YARROS

„Najprawdziwszy talent do opowiadania historii”.

– „Kirkus Reviews”

„Spod pióra Rebeki Yarros wychodzą słowa czyste, pełne czułości, pulsujące poezją emocji”.

– Tessa Bailey, bestsellerowa autorka
„New York Timesa” i „USA Today”

„Ta książka wprawia w zachwyty!”

– „Publishers Weekly”,
recenzja *Rzeczy, których nie dokończyliśmy*

„Przejmująca, chwytająca za serce i wielce inspirująca historia miłości”.

– „In Touch Weekly”, recenzja *Ostatniego listu*

„Yarros pisze w sposób poruszający i wciągający, a czytelnicy na własnej skórze odczuwają łamane serca i miłosne wzloty jej bohaterów”.

– „Publishers Weekly”, recenzja *Ostatniego listu*

„Rebecca, jak zawsze zresztą, nie zawodzi – mogę sięgać po jej książki w ciemno!”

– Jen McLaughlin, bestsellerowa autorka
„New York Timesa”

**REBECCA
YARROS**

**GDYBY
JEDNAK**

Przełożył
Michał Kramarz

FILIA

*Mojej siostrze Kate.
Poszłabym dla Ciebie na wojnę.
Kocham Cię. Mówię serio.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NATHANIEL

Kabul, Afganistan
Sierpień 2021

Ani trochę nie przypominało to Malediwów.

Zamknąłem oczy i odchyliłem głowę, wystawiając twarz na piekące promienie popołudniowego słońca. Nie wiele brakowało, abym za sprawą delikatnego powiewu wiatru przekonał samego siebie, że wilgotne krople ściekające mi po karku i wsiąkające w kołnierz koszuli to nie pot, tylko chłodna morska woda, w której dopiero co pływałem. Już prawie w to uwierzyłem.

W rzeczywistości stałem na płycie kabulskiego lotniska, zachodząc w głowę, jakim cudem podeszwy moich butów nie wtapiały się w rozgrzany do tak wysokiej temperatury asfalt. Być może wyjazd, który mnie ominął, był zemstą losu za to, że nie zabrałem jej ze sobą.

– Miałeś być na urlopie. – Z mojej prawej strony odezwał się znajomy głos.

– Ciii. Jestem. Nie widzisz? – Uniosłem nieznacznie jedną powiekę, tylko na tyle, żeby zerknąć na stojącego obok Torresa i jego gęstą brew, zacienioną przez daszek czapki w barwach kamuflujących.

– Co mam widzieć? Że sterczysz na stojance z łbem odrzuconym do tyłu, jakbyś występował w reklamie kremu do opalania Coppertone?

Kącki moich ust lekko się uniosły.

– To żadna stojanka, tylko małe domek na wodzie gdzieś na Malediwach. Nie słyszysz szumu fal?

Powietrze wypełniło się dobiegającym z oddali rytmicznym dudnieniem łopat śmigieł.

– Jedyne, co słyszę, to jak chrzani ci się w łepetynie – wymamrotał. – To pewnie oni.

Niechętnie otworzyłem oczy i podniosłem wzrok, wypatrując na horyzoncie podchodzącego do lądowania samolotu. Dojrzałem go w ciągu paru sekund.

Znowu ten sam szajs. Choć lubiłem moją pracę za to, że zawsze coś się w niej działo, musiałem przyznać, że powoli zaczynało mnie to nużyć. Cisza i spokój brzmiały dużo przyjemniej niż niekończąca się wojna.

– A tak w ogóle to jak, do cholery, dałeś się w to wrobić? Myślałem, że przydzielono do tego Jenkinsa. – Torres był ciekawy.

– Jenkins złapał wczoraj jakieś świństwo, a nie chciałem prosić Warda, żeby rezygnował z wolnego. Ma dzieciaki. – Obserwując moment przyziemienia C-130, poprawiłem

sobie na ramieniu pas od karabinu. – No i teraz będę musiał niańczyć asystenta senatorki Lauren.

– Łączę się z tobą w bólu, jak zawsze.

– Doceniam to.

Na Torresa, mojego najlepszego kumpla, zawsze można było liczyć. Przyjaźniliśmy się, odkąd wybrano nas do sił specjalnych. A nawet jeszcze wcześniej.

– Mam nadzieję, że do przyszłego tygodnia Jenkins stanie na nogi, a ja będę w drodze na Malediwy, zanim zdążą się tu zlecieć sami senatorowie. – Czuję już owocową nutę drinków z parasolką... A nie, chwileczkę, to jednak metaliczny posmak paliwa lotniczego. No cóż...

– Zdajesz sobie sprawę, że większość facetów, których znam, wykorzystuje przepustkę, żeby wrócić do domu i zobaczyć się z rodziną, prawda? – Torres spojrzął za siebie na resztę chłopaków kroczących w naszą stronę, wygładzających swoje pozbawione naszywek mundury polowe w złudnej nadziei, że po czterech miesiącach dostawania po dupie w tym kraju da się jeszcze z nimi cokolwiek zrobić.

– Może, ale większość z nich nie ma takiej rodziny jak moja. – Wzruszyłem ramionami. Mama nie żyła od pięciu lat, a jedyną okazją, przy której z własnej nieprzymuszonej woli mógłbym się zobaczyć z ojcem, był jego pogrzeb.

Dołączyli do nas pozostali, ustawiając się w rzędzie przodem do kołującego samolotu. Miejsce po mojej drugiej stronie zajął Graham.

– Mam kierować? – zapytał.

– Tak – odparłem. Zdążyłem już wybrać chłopaków, których chciałem mieć w zespole, dopóki nie wróci Jenkins. Parker i Elston czekali w ambasadzie.

– Nikogo nie brakuje? – sprawdzał major Webb, podchodząc i drapiąc się po niedawno ogolonym podbródku.

– A niech mnie! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem tę twarz! – rzucił Graham, szczerząc się do dowódcy. Biel jego zębów mocno kontrastowała z ciemnobrązową skórą.

W czasie, gdy samolot manewrował zgodnie z instrukcjami kontrolerów z wieży, Webb mamrotał pod nosem coś na temat polityków.

Przynależność do elitarnych jednostek sił specjalnych miała swoje plusy. Jak choćby swobodę w zwracaniu się do siebie i brak obowiązku golenia zarostu. Z drugiej strony można było zostać wyrolowanym z dawno zaplanowanego urlopu tylko po to, żeby bawić się w ochronę elegancików robiących rekonesans przed przylotem bandy ważniaków z rządu. Rano poświęciłem całą godzinę na zapoznanie się z aktami Grega Newcastle'a. Trafił mi się trzydziestotrzyletni zastępca szefa sztabu senatorki Lauren. Wyglądał na wypacykowanego typu, który po skończeniu prawa na Uniwersytecie Harvarda pofrunął prosto do Kapitolu. Miała się tu zjawić cała grupa takich ludzi, żeby się rozejrzeć na miejscu i złożyć przełożonym raport z tego, jak przebiegało wycofanie naszych wojsk z Afganistanu. Coś mi mówiło, że nie będą zachwyceni tym, co tutaj zobaczą.

– Tak dla przypomnienia... – odezwał się Webb, wyciągając z kieszeni złożoną kartkę i zerkając na wyznaczone szefów drużyn. – Maroon, dostaliście Bakera z biura kongresmena Garcii – zaczął, posługując się nazwiskami, które przyjęliśmy na potrzeby tego zadania. – Gold, wam przypadł Turner od kongresmena Murphy'ego. White,

zajmiecie się Holtem z biura senatora Liu. Green, odpowiadacie za Astor z biura senatorki Lauren...

– Dostałem akta Grega Newcastle'a – wtrąciłem.

Webb spojrział na trzymany w rękę papier.

– Wygląda na to, że zmienili to w ostatniej chwili. Macie teraz Astor. Zadanie pozostaje bez zmian. Interesują ich głównie prowincje na południu. To ci, którzy starają się ściągnąć żeńską drużynę szachową do Stanów.

Astor. Żołądek podszedł mi do gardła. To przecież niemożliwe. Nie i koniec.

– Wyluzuj – szepnął do mnie Torres. – To powszechne nazwisko.

Racja. Poza tym, kiedy ostatnim razem się ze sobą kontaktowaliśmy, pracowała dla jakiejś firmy w Nowym Jorku. Choć trzeba przyznać, że od tego czasu minęły już trzy lata.

Płaszcz miałem całkiem mokry od deszczu...

Zdusiłem te nieostrożne myśli w załączku i skupiłem się na zatrzymującym się przed nami samolocie nawigowanym przez obsługę naziemną. Rozgrzana asfaltowa nawierzchnia oddawała ciepło drżącymi falami, które zniekształcały obraz właśnie opuszczanej tylnej rampy. Piloci zgasili silniki.

Z kadłuba C-130 najpierw wyłonili się umundurowani lotnicy. Za nimi pojawiła się nieduża grupa cywilów, zapewne wspomnianych asystentów z biur senatorskich. Jednemu z urzędasów żołnierze musieli pomóc zgramolić się na ziemię.

Moje brwi powędrowały w górę. *Poważnie? Facet nie jest w stanie samodzielnie zejść z rampy samolotu, ale uznał, że wycieczka do Afganistanu to dobry pomysł?*

– To jakiś żart? – zadrwił Kellman, a właściwie sierżant White, bo tak mieliśmy go nazywać podczas tej misji. – Tylko nie mówcie, że to akurat mój gość.

– No to zaczynamy – mruknął obok mnie Torres.

Wypuszczałem powoli powietrze, w myślach odliczając do dziesięciu i mając nadzieję, że gdy dojdę do zera, jakimś trafem nabiorę cierpliwości. Nic z tego. Jedna wielka strata czasu.

Lotnicy, zasłaniając sobą podążających za nimi ludzi, szli w naszą stronę z szerokimi uśmiechami na twarzach. Trudno, żeby nie byli zadowoleni. W końcu mieli tylko odstawić gryzpiórków na miejsce. Z całą pewnością nie szczerzyliby się tak, gdyby to oni mieli eskortować niemających o niczym pojęcia, zarozumiałych cywilów podczas objazdu baz wojskowych, jakby były atrakcjami turystycznymi, a nie strefą działań wojennych.

Major Webb ruszył przed siebie. Wojskowi przepuścili do przodu swoje małe stadko. Łącznie sześć osób...

Serce zastygło mi w połowie uderzenia.

Mrugnąłem, a po chwili ponownie – tym razem szybciej. Powiew wiatru rozpędził gorące, rozedrgane powietrze, nie pozostawiając żadnych wątpliwości. Wszędzie poznałbym te złociste włosy w miodowym odcieniu i uśmiech wart milion dolarów. Dałbym sobie rękę uciąć, że za wielkimi szklami okularów przeciwsłonecznych kryły się intensywnie brązowe oczy oprawione gęstymi rzęsami. Poczulem, jak napinają mi się mięśnie dłoni, zupełnie jakby po tylu latach w dalszym ciągu doskonale pamiętały kształt jej ciała.

To była *ona*.

– Wszystko okej? – zapytał po cichu Torres. – Wyglądasz, jakbyś miał zamiar zwrócić śniadanie.

Nie, wcale nie było okej. Dalej niż do bycia okej było chyba tylko z Nowego Jorku do Afganistanu. Nie potrafiłem odezwać się słowem. Minęło dziesięć lat, odkąd się poznaliśmy, zresztą też na płycie lotniska, tyle że zupełnie innego, a mnie na jej widok nadal odbierało mowę.

Wyciągnęła prawą dłoń do Webba, żeby się z nim przywitać, i poprawiła zsuwający się jej z ramienia pasek dobrze mi znanego plecaka w kolorze wojskowej zieleni. Wciąż go miała? Nim ponownie opuściła ręce, jej palce rozblęsnęły odbitymi promieniami słońca, jakby trzymała w nich lusterko sygnalizacyjne.

Co. Do. Chuja. Moje serce z terkotem wróciło do życia i broniąc się przed tym, co właśnie zobaczyłem, zaczęło łomotać z taką siłą, że sprawiało mi fizyczny ból.

Jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochałem, zjawia się tutaj – w pieprzonej strefie działań wojennych – z pierścionkiem zaręczynowym na palcu. Pierścionkiem od innego mężczyzny. Nie miałem pojęcia, co to za jeden, ale zdążyłem gnojka znienawidzić. Nie miałem też najmniejszych wątpliwości, że na nią nie zasługiwał. Ja zresztą też nie. To zawsze stanowiło poważny zgrzyt w naszych relacjach.

Odwróciła się w moją stronę. Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Trzęsącymi się palcami przesunęła ciemne okulary na głowę, odsłaniając parę dużych brązowych oczu, z których można było wyczytać takie samo zdumienie, jakie mnie w tej chwili ogarnęło.

Na mojej klatce piersiowej zacisnęło się imadło.

Kątem oka widziałem, jak Webb podchodzi do kolejnych osób w szeregu, przedstawiając politykom komandosów odpowiedzialnych za ich bezpieczeństwo. Zbliżał się do nas, zegar odliczający czas do detonacji bomby atomowej tykał coraz głośniejsze, a my nadal nie odrywaliśmy od siebie wzroku. Dzieliły nas góra cztery metry – odległość, która wydawała się równocześnie za duża i zbyt mała.

Zrobiła krok do przodu i wzdrygnęła się, zaciskając palce na włosach porwanych nagłym podmuchem wiatru smagającym każdą możliwą powierzchnię piachem i kurzem, włącznie z jej białą bluzką z rękawami podwiniętymi prawie do łokci. Co ona tu, do cholery, robiła? Nie pasowała do tego miejsca. Powinna siedzieć w jakimś przytulnym narożnym biurze, w którym nikt i nic nie mogłoby jej tknąć... przede wszystkim ja.

– Panno Astor, to właśnie... – zaczął Webb.

– Nathaniel Phelan – dokończyła, lustrując moją twarz, jakby miała już nigdy więcej jej nie zobaczyć, jakby katalogowała każdą najmniejszą zmianę, każdą bliznę, jaka pojawiła się na niej w ciągu ostatnich trzech lat.

– Izzy. – Tylko tyle zdołałem z siebie wydusić, oślepiiony blaskiem diamentu o wadze chyba setek tysięcy karatów, który bił mi w oczy niczym migająca rażącym światłem lampa ostrzegawcza. Za kogo, do kurwy nędzy, zgodziła się wyjść?

– Znacie się? – Brwi Webba wygięły się w łuk, gdy przynosił wzrok to na mnie, to na nią.

– Tak – potwierdziłem.

– Już nie – odpowiedziała równocześnie ze mną.

Kurwa.

– No dobra... – Webb ponownie zmierzył nas wzrokiem, a niezręczność sytuacji nie umknęła jego uwadze. – Ale czy to będzie problem?

Będzie. I to ogromny. Powietrze między nami gęstniało, wypełniane milionami niewypowiedzianych słów, które uparcie wdzierały się w każdą szczelinę jak pustynny piach niesiony wiatrem przez płytę lotniska.

– Zawsze mogę zamienić... – zasugerował Webb.

– Nie – wypaliłem. Za cholerę nie zgodziłbym się, żeby powierzyć jej bezpieczeństwo komukolwiek innemu. Była na mnie skazana, czy jej się to podobało, czy nie.

Webb zamrugał, co było jedynym wyrazem zaskoczenia, jakiego można się było po nim spodziewać, i spojrzał na Izzy.

– Panno Astor?

– Jakoś damy radę. Proszę nie robić sobie kłopotu – odparła z uroczym, niewymuszonym, a jednocześnie nieszczerym uśmiechem, na którego widok przeszły mnie ciarki.

– A więc niech tak będzie – wybąkał niespiesznie Webb, po czym odwrócił się do mnie i, zanim poszedł w swoją stronę, wypowiedział bezgłośnie „powodzenia”.

Izzy i ja wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, podczas gdy wszystkie emocje, które przez ostatnie trzy lata z takim wysiłkiem zakopywałem najgłębiej, jak się dało, przedzierały się z powrotem na powierzchnię. Swoimi pazurami odrywały strupy, odsłaniając ukryte pod nimi rany, które nie zdążyły się jeszcze zabliznić. Kto by pomyślał, że nasze ponowne spotkanie odbędzie się w takich okolicznościach. Co prawda od początku mieliśmy w zwyczaju

wpadać na siebie w najgorszych możliwych chwilach i najbardziej niedogodnych miejscach, więc na dobrą sprawę nie powinniśmy być zdziwieni, że tym razem padło na państwo ogarnięte wojną.

– Myślałem, że mieszkasz w Nowym Jorku – udało mi się wreszcie wychrypieć, choć głosem brzmiącym tak, jakby został przeciągnięty kilkanaście razy po szorstkim chodniku. *Tam gdzie nikt nie będzie próbował wysadzić cię w powietrze.*

– Co ty nie powiesz. – Izzy uniosła brew i poprawiła zsuwający się z jej ramienia plecak. – Zabawna sprawa, bo ja myślałam, że nie żyjesz. Jak widać, oboje byliśmy w błędzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

IZZY

Saint Louis
Listopad 2011

– Piętnaście A. Piętnaście A... – mruczałam pod nosem, przyglądając się numerom siedzeń i przeciskając się zatłoczonym przejściem między rzędami foteli w samolocie regionalnych linii lotniczych. Z każdym krokiem walizka z bagażem podręcznym coraz bardziej wyslizgiwała mi się z klejących się od potu dłoni. Gdy wreszcie wypatrzyłam swoje miejsce i zobaczyłam, że schowek na bagaż nad moim fotelem nie został jeszcze zajęty, odetchnęłam z ulgą. Po chwili jednak zakląłam w myślach, bo miejsce A znajdowało się przy oknie.

Mój żołądek zaplątał się w supeł. Jak mogłam zarezerwować fotel przy oknie? W miejscu, z którego będę dokładnie widzieć zbliżającą się potencjalną katastrofę.

Ale chwileczkę. Siedzenie zajmował już jakiś facet. Miał opuszczoną głowę, spod czapki z logo drużyny

AUTORKA #1 NA LIŚCIE NEW YORK TIMESA

Wsiadając na pokład samolotu, Izzy Astor nie spodziewa się niczego szczególnego. Z pozoru to najzwyklejszy poświąteczny powrót do domu: jest tłoczno i gwarno, panuje zamieszanie. Nagle jednak dostrzega kompana podróży z sąsiedniego fotela, mężczyznę pod każdym względem niezwykłego.

Nate Phelan ma ciemne włosy, niebieskie oczy i mnóstwo surowego uroku, któremu dziewczyna nie potrafi się oprzeć. Coś ich do siebie przyciąga. I choć Izzy nigdy nie wierzyła w przeznaczenie, teraz musi zrewidować swoje poglądy.

Zaledwie półtorej minuty po starcie samolot spada do rzeki Missouri. W ich życiu wszystko się zmienia. Podobnie jak oni sami. Nate rozpoczyna karierę w armii, podczas gdy Izzy znajduje swoje miejsce w polityce.

Mimo że na przestrzeni lat los kilkukrotnie krzyżuje ich drogi, za każdym razem ma kiepskie wyczucie czasu. Aż do momentu, gdy Izzy trafia do Afganistanu, gdzie Nate'owi powierzono zadanie zapewnienia jej ochrony.

Zrobi wszystko, żeby włos nie spadł jej z głowy.

I wszystko, żeby zdobyć jej serce.

cena 56,90 zł

wydawnictwofilia.pl

